

EWA
SOBIŃSKA

Zaklęte zwierciadło

*Kiedy kobieta wciąż patrzy
w przeszłość, może się zmienić
w kamień...*

LIRA
WYDAWNICTWO

*Zakłete
zwierciadło*

EWA
SOBIENIEWSKA

*Zakłete
zwierciadło*

L I R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-99-9

Mojej Siostrze, Asiuni

*Słowik zacznie piosenkę — i róże rozkwitną
Pośród szmaragdowego młodych łąk kobierca!
— A mnie czyż nowa wiosna zawita do serca?*

Konstanty Gaszyński, *Zima* (fragment)

PROLOG

*KRÓLESTWO POLSKIE, ŁUBINÓW,
KWIECIEŃ 1835 ROKU*

Krzyk, z początku niewyraźny, przypominający raczej jęk, zaczął potężnieć. Zdawało się, że odbija się od ścian, wprawia w drżenie szyby serwantek i szklane klosze lamp, których nikt nie zdążył zapalić. Janusz Słoczyński poderwał się z krzesła i doskoczył do drzwi, lecz zabrakło mu odwagi, by wejść do środka. Oddychał szybko, przerażony i blady.

— Boże, uratuj ją... — powtarzał cicho, spoglądając na wiszący przy wejściu do jadalni drewniany krzyż. — Chryste, zlituj się, to moja wina. Mnie ukarż!

Opadł na kolana, próbując powtarzać słowa litanii, ale nie słyszał swego głosu, błagalnego *Kyrie Eleison*, tylko krzyk przesywający go na wskroś.

Zasłonił uszy, aż nagle wszystko umilkło. Zastygł w bezruchu, mierząc się ze strachem po stokroć

gorszym od tego, który przesładował go w powstaniu. Nie żyje... — pomyślał i przez krótki moment nie widział wnętrza jadalni, lecz czarną, kołyszącą się chmurę.

— Panie Słoczyński.

Nie zareagował od razu. Minęła dłuższa chwila, nim podniósł wzrok na kanciastą, zmęczoną twarz doktora Michowa. Zmusił się, by wstać, i czekał na słowa, które go zabiją.

— Już po wszystkim. Ma pan zdrową córkę.

— Córkę... córkę — powtarzał cicho, trawiając te słowa i bojąc się zadać kolejne pytanie. — A moja żona?

— Pańska małżonka czuje się dobrze, teraz odpoczywa.

— Dzięki ci, Boże... — szepnął, opierając się plecami o ścianę. Na moment przymknął powieki, jego twarz złagodniała, usta rozchyliły się w słabym uśmiechu.

— Tak... — Doktor obrzucił wzrokiem swój fartuch, pokryty brunatno-czerwonymi plamami. — Nie powinienem niczego przed panem ukrywać. To był ciężki poród. Miejmy nadzieję, że nie wystąpi gorączka. Pani Eufrozyna... Wątpliwe jest, by jeszcze kiedyś...

— Proszę mówić.

— Nie będzie miała więcej dzieci.

Janusz Słoczyński zrobił jedynie niecierpliwy ruch ręką, dając do zrozumienia, że to teraz nieważne.

— Czy pozwoli pan, że się umyję? Przebiorę się tylko i wrócę do pańskiej małżonki.

— Ależ oczywiście. — Używając dzwonka z wizerunkiem Napoleona, Słoczyński przywołał służącą. — Pokażesz panu doktorowi drogę i znajdziesz świeże ręczniki, a potem zadbasz, by podano kawę.

Kiedy został sam w pokoju, usiadł przy stole i oparł głowę na rękach. Trząsał się z zimna, choć stary piec o zielonych kaflach był jeszcze gorący. Zbliżała się szara godzina, która wpełzała przez okna, osiadała na jasnych firanach i zagarniała blask kwietniowego dnia, oddając w zamian melancholijny półmrok. O szybę tłukła się mucha, próbując uciec przed ciemnością. Wahadło zegara sennie odmierzało czas, utrudzone niekończącą się pracą.

Janusz Słoczyński usłyszał coś jeszcze: cichutkie kwilenie i kroki w sypialni przylegającej do salonu jadalnego. Wstał i zbliżył się do drzwi z lękiem i nadzieją. Gdyby go zawołała, gdyby choć szepnęła jego imię...

Kiedy z pokoju wyszła Ludwika z zawiniątkiem w ramionach, zrobił ruch, jakby chciał ją wyminąć, ale piastunka zagrodziła mu drogę.

— Śpi. Nie przeszkadzajmy jej. — Uniosła ku niemu ozdobiony falbaną becik. — A oto i pańska córeczka.

— Jest taka... maleńka — powiedział wzruszony, spoglądając na zaróżowioną buźkę.

Ostrożnie dotknął palcem rączki.

— No, nie taka znów maleńka. Akuratna, taka jak trzeba. Zaraz poślę po żonę gajowego. Powiła przed tygodniem i będzie w sam raz na mamkę.

— Dziękuję, Ludwiko. — Zawahał się. — Czy Eufrozyna mówiła ci... Wspominała może, jak chciałyby ją nazwać?

Piastunka uciekła wzrokiem.

— No, zmęczona była, więc...

— Więc poczekamy, aż odpocznie. Niech ona zdecyduje.

Ludwika uśmiechnęła się nieporadnie, kołysząc dziewczynkę w objęciach.

— Lepiej, żeby to pan... — chrząknęła, pociągając nosem. — Ona nie...

Janusz westchnął głęboko. Bolesny ciężar znów osiadł mu na piersi.

— Rozumiem. — Popatrzył na córkę. — Chciałbym ją nazwać po ojcu.

— Wincentyna? — spytała z powątpiewaniem Ludwika.

— Rzeczywiście, nie brzmi dobrze i nie pasuje do niej. Może więc Wiktoria?

— Wiktoria, Wiktunia. Ładnie. — Popatrzyła uważnie na poszarzałą twarz Słoczyńskiego. Źle wyglądał. I jeszcze ten upiorny smutek w oczach, od którego ciarki szły po kręgosłupie. — Jeszcze się wszystko poukłada, zobaczy pan. Ona zapomni, wybaczy... Macie córkę, więc...

— Nic się nie poukłada, Ludwiko. Za późno... Od dawna jest już za późno...

CZĘŚĆ I

Przed zwierciadłem

ROZDZIAŁ 1

LITWA, WILNO, WRZESIEŃ 1853 ROKU

Elizie Ruczyńskiej od dziecka wpajano, że powinna się bać. Najlepiej wszystkiego. Gniewu ojca, kościstych dłoni ciotki Teodozji, czarnych kotów, zła czającego się w ciemnych zaułkach, deszczu, ale również słońca, wody w sadzawkach i rzekach, zdroźnych myśli, a przede wszystkim Boga, który dla Elizy miał twarz rozłoszczonego starca z obrazu Trójcy Świętej, wiszącego w pokoju matki. „Bój się Boga!” — mówiono, gdy zbyt głośno się śmiała albo biegła w podskokach przez korytarz. „Bój się Boga” — powtarzano, gdy w białej, perkalowej sukience kładła się na trawie, by marzyć nie wiadomo o czym. „Zobaczysz, Bóg cię pokarze” — ostrzegano, gdy niepytana próbowała zabierać głos. Bała się więc, wyćwiczona połajaniem, ale najmocniej wtedy, gdy porównywano ją z bliźniaczą siostrą. „Helenka nigdy by tak nie postąpiła, Helenka wiedziałaby, jak się zachować. Ach, gdyby tu była Helenka...” — wzdychała z żalem ciotka Teodozja, sięgając po różaniec tylko

z przyzwyczajenia, bo za duszę prawdziwego anioła modlić się wszakże nie potrzeba.

Teraz, gdy Eliza siedziała zupełnie sama przy stole zastawionym do uroczystej wieczerzy, bała się, że już więcej nie zniesie, że rozpacz ją rozerwie, a gorycz sprawi, że potłucze porcelanową zastawę, którą wniosła w posagu. Nikt nie przyszedł, nikt! Zaproszenia wysłała już dawno, przygotowywała się od tygodnia i czekała na ten wieczór jak na cud, który przywróci ją do łask i obdarzy przychylnością bliskich. Nie była na tyle naiwna, by się ludzić, że pojawi się ojciec, ale matka? Wanda? Zakryła twarz dłońmi i zapłakała cicho, ze wszystkich sił starając się stłumić łkanie. Rzadko pozwalała sobie na taką słabość, odkąd w dzieciństwie usłyszała od ciotki Teodozji, że lamente nie przystoją panience i że Helenka z pewnością nie uroniłaby nawet jednej łzy.

— Proszę jaśnie pani. — Do jadalni weszła młoda i szczuplutka służąca Olena. — Bo kucharka pyta, czy podawać. Piec stygnie.

Eliza pospiesznie otarła policzki, próbując zachować resztki godności, i już zamierzała wydać dyspozycje, ale ubiegła ją ciotka Teodozja.

— Wracaj do kuchni. Ja porozmawiam z kucharką. Pozabieraj naczynia.

— To gości nie będzie?

— A ty nie wiesz, że takie ciekawskie jak ty to się w piekle smażą?

Dziewczyzna spuściła wzrok, wyrzucając sobie, że po raz kolejny się zapomniała. Prędko uprzątnęła stołowe srebra, patery i półmiski z nadziewanymi roladami.

Eliza przyglądała się, jak pustoszeje stół, z którego jeszcze przed kilkoma godzinami była taka dumna. Smutku nie mogła wypłakać, więc ten rozpychał się w głowie, schodził do gardła i osiadał niby kamień o ostrych brzegach na żołądku.

— Mówiłam ci, że nikt nie przyjdzie — zakomunikowała zimno ciotka Teodozja. — Zmarnowało się tyle jedzenia. Musiałaś być taka uparta? Naprawdę liczyłaś na to, że po tym, co zrobiłaś...

— Ciotko, proszę...

— A czy matka cię nie prosiła? Ojciec? Chciałaś, to masz. Teraz tak będzie wyglądało twoje życie. Zasłużyłaś sobie.

Eliza wstała z krzesła, z przyzwyczajenia kładąc rękę na brzuchu. Ciotka zauważyła ten gest i uśmiechnęła się drwiąco.

— Opatrzność czuwała, byś nie wydała na świat dziecka zaborcy, poczętego w grzechu.

Eliza zacisnęła usta. Skurcz bólu na krótką chwilę wyostrzył rysy jej twarzy, wykrzywił wargi w grymasie i dźgnął między oczy.

— Ciocia wybaczy, pójdę się położyć — powiedziała spokojnie, za wyćwiczonym latami opanowaniem chowając smutek i niechęć, a także potężne uczucie gniewu, którego się bała.

— Tak, tak, idź spać — mruknęła pospiesznie ciotka Teodozja, bo nie czuła się dobrze z tym, co powiedziała.

W sypialni rozgościły się ciemność i wrześniowy ziąb, którego nie zatrzymały grube mury kamienicy i ledwie tłące się drwa w kominku. Zaraz też przyszła Olena. Zapaliła świece i pomogła swej pani zdjąć suknię

z jedwabnej mory. Eliza specjalnie wybrała głęboki odcień błękitu, bo był to ulubiony kolor matki. Długo przygotowywała się na ten wieczór i żywiła głęboką nadzieję, że po tym, co ją spotkało, najbliżsi okażą choć odrobinę współczucia i łaski. Najwyraźniej jednak w ich oczach wciąż była zbrodniarką, która swą fatalną miłością zhańbiła rodzinę.

Leżąc w łóżku, powróciła myślami do tych chwil, gdy ten jeden, jedyny raz sprzeciwiła się woli matki i ojca. A przecież zawsze była dobrą, posłuszną córką. Ze wszystkich sił starała się dorównać Helence, tej uwielbianej przez wszystkich siostrze, która choć nie zdołała nawet złapać pierwszego oddechu, obrosła w przymioty niemalże świętej. Eliza szybko nauczyła się uprzedzać życzenia innych, dostosowywać do ich pragnień, powściągając własne. Ubóstwiała matkę, która nigdy nie skąpiła jej pieśczoć i ciepłych słów, nazywając swoją księżniczką i ukochaną dziewczynką. Ojciec z ciotką zachowywali większą rezerwę. Tępiłi zgodnie wszystko to, co uznawali za rażące i nieodpowiednie: śmiech, płacz, złość i dziecięcą egzaltację. Lepili małą Elizę jak lalkę z gliny, z satysfakcją i dumą słuchając zachwyków innych nad panienką Ruczyńską, śliczną, ułożoną jak trzeba, z licznymi talentami. Żadna panna nie mogła się z nią równać. Żadna nie miała aż tak alabastrowej cery, gęstych czarnych włosów i błyszczących oczu. Żadna nie wydobywała z fortepianu dźwięków wystarczająco rzewnych i czystych. Żadna nie poruszała się z takim wdziękiem. Żadna nie była tak słodka i pokorna.

Pochwały, które w dzieciństwie sprawiały Elizie przyjemność, w miarę upływu lat zaczęły w niej

budzić wyrzuty sumienia. „Przecież ja wcale taka nie jestem” — miała ochotę zaprotestować. „Zobaczcie, jak ona pięknie zajmuje się dziećmi, będzie doskonałą matką” — mówiono, gdy bawiła potomstwo swych kuzynek, i nikt nie dostrzegał, że w rzeczywistości obecność hałaśliwych siostrzenic i siostrzeńców męczy Elizę i drażni.

Towarzyskie spotkania, podczas których uśmiechając się łagodnie, odgrywała narzuconą rolę, sprawiały, że potem w nocy cierpiała na bóle żołądka. Nieraz odnosiła wrażenie, że nosi w nim świętą siostrę Helenkę, matkę i ciotkę Teodozję, że to one żyją w jej ciele i kierują nim wedle swej woli. Raz zwierzyła się z tego jedynej przyjaciółce Wandzie, która zawyrokowała, że Eliza jest wrażliwa, przeżywa wszystko zbyt mocno i że najlepsze na bóle są krople miętowe, a na nerwy — walerianowe.

A potem poznała Dominika Łempickiego. Przedstawiono ich sobie niedługo po święcie Matki Boskiej Różańcowej, a po Nowym Roku odbyły się zrękowiny. Radość wielka zapanowała w rodzinie. Łempiccy... Zaczynny ród, piękny majątek, chwalebne czyny. Czyż to nie szczęście dla Elizy? Czyż to nie zaszczyt?

A tymczasem ona haftowała monogramy na pościeli, cierpiąc na coraz większe dolegliwości żołądka i bóle głowy, pogubiona w uczuciach. Dominik Łempicki był jak z marzeń. Zachwyił ją od pierwszego wejrzenia i musiała się upominać, by nie patrzeć na niego zbyt długo. Smukły, wysoki, ciemnowłosy, wyjątkowo urodziwy, zupełnie inny od podstarzałych kawalerów o nalanych twarzach, których rodzice przyjmowali na prośzonych

obiadach. Wiedziała, że papa szuka jej męża, i strach ją zdejmował, jak też zakończą się owe poszukiwania. Znała swoje powinności, była pogodzona z myślą, że kiedy przyjdzie nieuchronne, ma obowiązek ucałować dłoń ojca, podziękować jemu i Bogu, że nie zostanie starą panną jak ciotka Teodozja. Tego dnia, gdy dowiedziała się, komu oddano jej rękę, poczuła ulgę i przez krótki czas była naprawdę szczęśliwa. Okazało się, że narzeczony poza ujmującą powierzchownością posiada także inne zalety. Adorował ją subtelnie, bez rażącej natarczywości, która zresztą i tak byłaby niemożliwa, bo przeważnie towarzyszyła im ciotka Teodozja. Tylko podczas gry na fortepianie, gdy ćwiczyli mazurki albo polonezy, mieli szansę zbliżyć się do siebie. Zdarzało się, że Dominik muskał jej palce, na krótką chwilę splatał ze swoimi, patrząc na nią tak, że rozogniało się w niej wszystko i pragnęła w nieskończoność widzieć jego oczy i czuć dotyk. Nie wątpiła, że to, co się w niej przebudziło, jest miłością, o jakiej czytała w książkach, które Wanda wykradała matce. A jednak z każdym kolejnym spotkaniem ogarniała ją coraz większy strach, natury którego nie rozumiała. Miała wrażenie, że to nie ona wychodzi za mąż, ale to drugie, doskonałe wcielenie Helenki. To nie ona się uśmiecha, nie ona skromnie spuszcza wzrok, nie ona kocha. Jestem obłąkana — myślała nieraz, lękając się, że Dominik w końcu to odkryje. Wyobraźnia podpowiadała jej różne scenariusze, a każdy uwzględniał pogardę, nienawiść i odrazę narzeczonego. Dlatego też nie mogła postąpić inaczej. Nie mogła!

Eliza przekręciła się na łóżku, gdy usłyszała kroki na korytarzu. Nasłuchiwała przez dłuższą chwilę, aż wreszcie usiadła i oparła się o drewniany zagłówek.

— Dima! Tak długo cię nie było! — rzuciła z tłumionym wyrzutem w stronę młodego mężczyzny, który z przewieszonym przez ramię surdudem wszedł do sypialni. — Czekałam.

— Nie chciałem ci przeszkadzać w wielkim pojednaniu, moja piękna Elizawieto — odparł pogodnie, przysiadając na łóżku. — Twój ojciec przestał się dąsać?

— Nie. Nikt nie przyszedł. Nikt! Nawet Wanda.

— Można się było tego spodziewać, czyż nie? — Ściągnął buty i położywszy się w poprzek, podparł głowę na łokciu. Ciemne oczy mężczyzny patrzyły na nią wesoło. — Nie musisz żebrać o ich łaskę. Poradzimy sobie bez nich.

— Oni mi nigdy nie wybaczą.

— A czy to takie ważne?

— Jak możesz tak mówić, przecież wiesz...

— Wiem, ale chyba pora się pogodzić z tym, że dla nich jesteśmy straceni. I jeszcze dali nam tę kostuchę, żeby nas gnębiła.

— Ciotka Teodozja stara się pomóc — zaprotestowała, sama w to nie wierząc.

— Wolałbym, żeby pomagała gdzie indziej. — Uśmiechnął się.

— Ja również — odparła szeptem. Odrzuciła pierzynę na bok i przysunęła się do niego. — Dmitriju, mam tylko ciebie. Tylko ciebie. Obiecuj, że zawsze przy mnie będziesz, że nigdy mnie nie zdradzisz, nie zawiedziesz.

— No co też ci chodzi po głowie, moja piękna Eliza-wieto. — Odgarnął jej włosy z czoła i pocałował w skroń. Jego wargi były ciepłe i suche jak lipcowa ziemia.

Eliza objęła go mocno, wyczuła przy tym woń alkoholu i tytoniu. Uniosła ku niemu usta, po raz pierwszy od dawna szukając u niego intymnej bliskości. Utrata dziecka na wiele tygodni uspiła zmysły, ale teraz Eliza potrzebowała pociechy i potwierdzenia, że dokonała słusznego wyboru. Dmitrij pocałował ją krótko, nie-
dbale, jakby myślami błędził gdzieś indziej.

— Pora spać, najdroższa. Jutro porozmawiamy.

Ułożyła się na boku, nieco zawiedziona, ale spokojna, że czuje jego ciało przy swoim i słyszy miarowy oddech. I tylko jedna myśl zakłócała sen: Dmitrij niczego jej nie obiecał.

Mimo późnej pory pani Izabela Ruczyńska zapukała do sypialni męża. Nie spał jeszcze, ubrany w szlafrok siedział w fotelu, wpatrując się w płonące świece. Popatrzył na nią bez zaskoczenia i bez ciekawości, co ma mu do zakomunikowania. Przed laty cieszyły go te nocne odwiedziny, choć doskonale wiedział, że żona nie przychodzi do niego gnana miłością, lecz marzeniem, by spełnił się sen o wyczekiwanym macierzyństwie. Gdy to się wreszcie stało, przestała składać mu wizyty, a jego afekty traktowała jak zło konieczne. Szybko pozszywał zranione serce, bo chętnych szwaczek nie brakowało. Wystarczyło zachować dyskrecję, by dalej uchodzili za wyjątkowo zgodne i dobrane małżeństwo.

— Wybacz, Karolu, że naruszam twój spokój, ale...

— Ale spać nie możesz, bo lubisz się zamartwiać sprawami błahymi — dokończył za nią lekceważącym tonem.

— Eliza nie jest błahą sprawą. Czekala dziś na nas.

— Naprawdę musimy do tego wracać? Znasz moje zdanie, nic się nie zmieniło. I nie zmieni.

— Nawet jeżeli tak mi na tym zależy? Choć cię proszę? Nie mogłeś tego zrobić ze względu na mnie?

— Ze względu na ciebie, droga małżonko, nie wydziedziczyłem jej, choć powinienem był. Ze względu na ciebie otrzymała posag, ze względu na ciebie zrobiłem kiedyś coś, czego teraz bardzo żałuję. Gdybym mógł cofnąć czas...

— Wcale tak nie myślisz.

— A jednak. Oboje popełniliśmy straszny błąd i teraz za to płacimy.

Zbliżyła się do męża, posyłając mu łagodny, słodki uśmiech.

— To twoja córka.

— Moją córką była Eliza Izabela Ruczyńska. Elizy Kuzniecovej nie chcę znać.

— Jesteś okrutny.

— Ja? — Wstał z fotela. Początkowe opanowanie przeszło w stan podwyższonej irytacji. — Nic już nie zmyje hańby z naszej rodziny. Moim nazwiskiem wycierają sobie usta wszyscy w mieście. Wróć, proszę, do siebie i zastanów się, czyś się do tego nie przyczyniła.

— Przyczyniłam się?

— Rozpieszczałaś ją, trzymałaś przy sobie, zamiast pozwolić Teodozji zapanować nad jej krnąbrnym charakterem.

— Krnąbrnym? Co ty mówisz? Przecież zawsze była taka grzeczna i posłuszna.

— Doskonale się maskowała, a ty, zaślepiona i ufna, nie dostrzegłaś prawdziwej natury Elizy. Cóż, sprawdziło się stare przysłowie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Pani Izabela pochyliła głowę, skuliła ramiona, gestem tym kontentując męża. Karol Ruczyński właśnie tego oczekiwał od kobiety, której ślubował przed dwudziestu pięciu laty. Pragnął szacunku, posłuszeństwa i lojalności. Nie wiedział, że żona tylko dlatego spuściła wzrok, by nie dostrzegł w nim złości i niechęci.